

ANNA SOROKA

ur. 1936; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, ulica Niecała 8, szkoła Marii Papiewskiej, Maria Papiewska, Stefania Mazurkiewicz, Zofia Gajewska, Paulina Turowska, Tatara (nauczycielka), okupacja niemiecka, ulica Dolna Panny Marii 59, tajne nauczanie, tajne komplety, ulica Piłsudskiego 7, ulica Narutowicza, ulica Chopina 13, projekt Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie, PRL

Komplety domowe

Mama ukończyła przed wojną 3-letnie studium i nauczwała w szkole pani Marii Papiewskiej, która mieściła się przy ulicy Niecałej 8, chyba na pierwszym piętrze. Pani Maria Papiewska była społeczniką, jej siostra - Wanda, była współzałożycielką spółdzielczości Lubelszczyzny, natomiast ta pani pedagog była osobą niezamężną i prowadziła seminarium, które ukończyła mama.

W 1940 albo 1941 roku, dokładnej daty nie powiem, Niemcy zlikwidowali szkołę, którą prowadziła pani Papiewska. W tymże miejscu gdzie przedtem mieściło się seminarium była szkoła podstawowa prowadzona przez panią Papiewską i nauczycielkami były: moja mama - Stefania Mazurkiewicz, pani Tatara, pani Zosia Gajewska i pani Paulina Turowska.

Paulina Turowska to była osoba z Wołynia, z rodziny, która wyginęła cała, jako młoda osoba została i zamieszkała u nas przez jakiś czas, w mieszkaniu na Dolnej Panny Marii 59. Ojca nie było i mama przygarnęła ją jako swoją dawną koleżankę i myśmy razem mieszkaliśmy. Potem dostała, gdzieś tam załatwiła sobie, to ciągle czas okupacji, mieszkanie na Lubartowskiej, pokój sublokatorski i tam przychodziły dzieci. Ona była po Akademii Sztuk Pięknych i fenomenalnie malowała, obrazy jej były przepiękne, wartościowe, u nas były dwa jej obrazy.

Mama przyjaźniła się z tymi trzema koleżankami, przyjaźń dotrwała do śmierci każdej. To były potem, już po wojnie, już jak byłam dorosła, moje cicie.

Rozwiązanie szkoły nastąpiło w ciągu kilku dni, po prostu kazali zlikwidować bibliotekę, salę zajęli Niemcy i rozleciało się to wszystko. Ojca nie było, bo był w Rumunii, ewakuowany razem z fabryką samolotów, z pracownikami, był zmobilizowany jeszcze w sierpniu 1939 roku i zostałyśmy z mamą same. Mama była bez pracy, a ponieważ nauczone były w tym seminarium społecznych zajęć, jakoś tak wprowadzone w świat taki zupełnie inny niż obecny, nic z zysku, z materialnych spraw, tylko raczej społeczne. Ponieważ wiele dzieci zostało bez szkół i rodzice, ja tak podejrzewam, bali się posyłać te maluchy do szkół i były komplety domowe, które prowadziły różne nauczycielki, tak myślę, że nie tylko przecież moja mama. Mama zorganizowała taki komplet nauczania, kilkoro dzieci, z których to nazwiska pamiętam: Basia Czaporska, Andrzej Krychowski, który po skończeniu biologii pracował gdzieś w sporcie, Grzesio Tomaszewski, Krysia Maleszyk, Jurek Dłużniewski, który potem był profesorem na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, chyba Basia Czapska i Irka Burdzanowska.

Te komplety były w mieszkaniu u nas. Ponieważ Niemcy nas wysiedlili, babcia - bardzo zaradna osoba, natychmiast znalazła wolne mieszkanie na Dolnej Panny Marii 59. Myśmy mieszkały na Piłsudskiego 7 i nasz budynek zajął Wehrmacht, w ciągu dwóch czy trzech dni trzeba było się ewakuować stamtąd. No więc babcia bardzo szybko gdzieś na targu dogadała się z jakimś gospodarzem, który wybudował dom dla swoich synów, żeby nie wynajmować stancji, chłopcy poszli do lasu, a myśmy zajęły ten domek. I tam przychodziły dzieci, nie pamiętam, żeby rodzice odprowadzali i to mnie dziwi, bo nie pamiętam rodziców. Ale to był inny świat. Przez Piłsudskiego to oprócz wojskowego samochodu niemieckiego nic nie jeździło. Ja mając 5-6 lat, to od krzyżówki Lipowa, Narutowicza, Nadbystrzycka na łyżwach zjeżdżałam do mostu, bo nie było żadnego ruchu. Jeżeli przejechała, to furmanka albo dorożka wieczorem, podwożąc gdzieś tam kogoś. Także nie było żadnego ruchu, i te dzieci, myślę, że przychodziły same, bez rodziców.

Była to gromadka, która oprócz nauczania pisma, kaligrafii, pisało się ołówkiem, broń Boże piórem, bo kłopot byłby z atramentem, bo wtedy pisało się stalówkami z atramentem, więc pisało się ołówkiem, rachunki na liczydłach, rozpoznawanie kolorów, odcieni, lepienie jakiś układanek z papieru kolorowego, uczenie co to jest poddasze, co to jest suterena, a łatwo było o strych, bo w tym domku, w którym mieszkałyśmy, w sionce stała drabina i po drabinie można było wejść na strych, więc dzieci z ogromnym zapałem po tej drabinie wędrowały. W tej sionce jeszcze był oprócz tego piec chlebowy i ten piec chlebowy był zasłonięty wielkimi drzwiami wejściowymi, potem była sionka i wejście do mieszkania. Także, jak się otworzyło te wejściowe drzwi z podwórka, to zasłaniało piec, a dzieci były tak nauczone, że w czasie jakiegoś kłopotu, niebezpieczeństwa, dzieci się nie straszły, natomiast dzieci

były przyuczone, że gdyby na sygnał pani prosiła, żeby schować zeszyty i te książeczki, bo tylko był elementarz Falskiego przecież, to się chowało właśnie do tego pieca chlebowego, bo on był zasłonięty, nie było widać. Jak przyszedł ktoś nieodpowiedni, to dzieci się bawiły, a to były urodziny Jasia, a to Stasia, a to Basi. Wyciągało się z takich walizeczek, nie było tornistrów, nie było woreczków, nie było żadnych jakiś teczek, tylko dzieci przychodziły z takimi maleńkimi walizeczkami, zapinanymi na dwa zatrzaski i tam jakaś kanapka może była, może jakaś przekąska, żeby w razie udawania tych urodzin czy imienin, żeby to pozorowane było, że to właśnie jest zabawa, a nie nauka.

Obok był dom zajęty przez rodziny kolejarzy niemieckich. Przed wojną kolejarze wybudowali sobie na rogu Dolnej Marii Panny i Piłsudskiego, naprzeciw wodociągów, dom mieszkalny, ale jak Niemcy wkroczyli to natychmiast zajęli ten dom i wprowadzili swoje rodziny, i w tych oknach siedziały Niemki, które nie pracowały, bo panowie kolejarze, bo to byli niemieccy kolejarze, szli do pracy, a te panie w oknach siedziały i wszystko widziały, w związku z czym nawet te niemieckie dzieci przychodziły do nas na podwórko. I mama, nie wiem, czy z obawy, czy jakieś ostrzeżenia były, tego nie mogę powiedzieć, bo ja pamiętam fragmentami i ciągłości tego nauczania to mnie jest bardzo trudno odtworzyć, ale w innym punkcie mama prowadziła lekcje, u państwa Krychowskich, Narutowicza 13, albo 11 chyba, w mieszkaniu na pierwszym piętrze. To byli państwo, którzy przed wojną mieli sklep z alkoholami, ale takimi wyszukanyimi alkoholami. Były dwa wejścia do tego mieszkania, od podwórka, które jest przejściowe z Narutowicza do Krakowskiego, do dzisiaj jest tam przejście, i drugie gdzieś od frontu, ale jak szukałam teraz tego wejścia to trudno mi odtworzyć, tego frontowego. I tam u u państwa Krychowskich było ogromne mieszkanie. Pani Krychowska, piękna kobieta, blondynka, bardzo taka efektowna i jedynak, syn, Andrzejek, który uczestniczył w naszych lekcjach. Tam było pianino, które pamiętam, pod ścianą i dziwne, bo nie potrafię sobie uzmysłwić, jak to było, że pedały pianina były zasłonięte tak jak gdyby klapą drewnianą i wiem, że ta kłapa służyła na piękny schowek, bo w razie dzwonka, który był nieumówiony, bo tam były dzwonki umówione, na przykład: trzy, przerwa, i jeden. Jeżeli ktoś zadzwonił do tego mieszkania nie sygnalizując umówiony dzwonek, to wszystkie te zeszyty i elementarze łądowały właśnie pod tą klapą pianina. Natychmiast pani Krychowska spuszczała trapez, który był w drzwiach, ktoś się tam huśtał, udawaliśmy zabawę. I to było wszystko umówione i dzieci były ogromnie zdyscyplinowane, to nie było tak, że się ociągały.

Trzecie miejsce to było u pań Bagińskich, siostry, samotne, mieszkające na Chopina 13. W tymże mieszkaniu też były dwa wejścia, jedno z bramy po lewej stronie, a drugie trzeba było wyjść na podwórko i wejść od kuchni. To było bardzo duże, w amfiladzie, ciemne mieszkanie. Obecnie jest tam restauracja, nawet nie wiem, jak się

nazywa. Pod którymś oknem są zrobione schodki, wejście do tej restauracji jest z innej strony, także bardzo się tam zmieniło. Brama jest obecnie zamykana. I u pań Bagińskich niewiele razy, ale czasem tam właśnie odbywały się też lekcje i też wiem, że u nich był też umówiony dzwonek. Pani Bagińska prowadziła także nauczanie dla nieco starszych dzieci.

Nie mogę powiedzieć na jakiej to zasadzie były te zmiany miejsc, ale moim zdaniem, to po prostu chodziło o zmianę, bo przecież różne osoby były i różni ludzie, żeby nie było jakichkolwiek podejrzeń, bo chodziło przecież o dzieci, i to cudze dzieci.

Mama nie pozwalała mi uczestniczyć w lekcjach tych zasadniczych, natomiast w tych zajęciach praktycznych brałam udział, ale w lekcjach mama mi zabroniła, bo byłam za mała, żeby się uczyć czytać, pisać, ale ja gdzieś tam siedząc, udawałam, że siedzę z lalką czy tam się bawię gdzieś w kącie, to łapałam wszystko, a potem sobie rysując, pisząc, i byłam jako 5-latek, nie to, że cudowne dziecko, bo wcale taka nie byłam, umiałam pisać, tylko bazgrałam, umiałam rachować i wiele takich pojęć ogólnych, które mama tam dzieciom wpajała, to i ja chwyciłam. Byłam wolnym słuchaczem, bo mama mi nie pozwalała zasiadać przy stole i pisać z nimi, liczyć, rachować. Rachowanie było na jakiś słomkach, na jakiś patykach chyba, liczydła. Mnie nie wolno było tego dotykać, no niemniej jakoś łapałam to sama. Powtarzałam jak małpka, pewnie dzieci poszły do domu, a ja powtarzałam po nich, tak myślę.

Potem mama dała mnie do szkoły na próbę, żeby sprawdzić do której klasy mnie puścić. Były szkoły normalne, na przykład była przy Narutowicza, obecnie na rogu Okopowej i Narutowicza, gdzie jest wielki wieżowiec i jak gdyby sąsiaduje ze starym, przedwojennym blokiem, w narożniku takim, naprzeciw tej fontanny, w podwórku. Na samym narożniku był sklepik z materiałami piśmiennymi, które prowadził pan Chojnacki, bardzo antypatyczny pan, dzieci się bardzo go bały robiąc tam zakupy stałówek czy zeszytów w trzy linie, to dzieci niechętnie chodziły, bo niezbyt był miły dla dzieci. W podwórku była szkoła, drewniana, parterowa, w której uczył pan Piechota, ojciec tego laryngologa lubelskiego słynnego. Krótko do tej szkoły chodziłam i mama stwierdziła, że chyba niewiele korzystam, bo okres był przygotowań dzieci do I komunii. Między lekcjami dzieci miały zajęcia jak się zachować w kościele, w czasie przyjmowania sakramentu, w związku z czym, jak przychodziłam do domu, to mówiłam, że trzeba było język na brodę i mama mnie karciała, że co ty opowiadasz bzdury, no i poszła do pana Piechoty, sprzed wojny znali się ze szkoły pani Papiewskiej i zapytała, o co to chodzi, bo ona z tym językiem ciągle. A okazało się, że dzieci są przygotowywane do komunii. Ławki były sztywne, drewniane, z oparciem i pan Piechota nie pozwalał dzieciom grzebać przy kałamarzu, przy pulpicie z atramentem, dzieci musiały siedzieć sztywno, ręce z tyłu skrzyżowane, oparte o ławkę, ktokolwiek wysunął rękę, dostawał klapę od

drewnianego piórnika. Byłam krótko w tej szkole, nie wiem, czy dostałam świadectwo, czy nie, ale to było za okupacji. Potem oczywiście zburzyli ten budynek, bo Lublin się zaczął rozbudowywać.

Mama skończyła to nauczanie, jak tata wrócił, bo jak Rumunów Niemcy zaanektowali, to pozwolono wszystkim obcokrajowcom wrócić do swoich ojczyzn. Podobno były tam dysputy, część z kolegów z tej wytwórni samolotów wyjechała do Francji, a część, niewielu ich wróciło. Także jak wrócił ojciec, to mama zrezygnowała z tego nauczania. Nadal mieszkaliśmy w tym domku państwa Janowskich. Po wyzwoleniu wróciliśmy do swojego mieszkania, które trzeba było czyścić z ropowanego parkietu, bo cały parkiet żołnierze mieli obowiązek w ramach higieny ropować, od insektów.

Po wojnie mama już nie nauczwała w szkole. Pani Bagińska, ta z Chopina, jedna z siostr, uczyła u Urszulanek zajęć praktycznych, bo tak się to wtedy nazywało, a druga otworzyła przedszkole pod imieniem nieżyjącej już pani Papiewskiej, czyli tej ich promotorki, nauczycielki sprzed wojny, bo pani Bagińska też była związana z tamtą szkołą. Pani Bagińska mamę zatrudniła w przedszkolu. Pani Patata, jedna z tych czterech pań, które się tak przyjaźniły prowadziła zajęcia plastyczne w świetlicy jakiejś w Świdniku. Pani Tatara poszła do kuratorium do pracy, a pani Gajewska tragicznie zginęła tuż po okupacji, bo to był chyba 1944 rok. Także, troszeczkę tak się poluzowały te kontakty, natomiast pani Tatara była naszym domownikiem stałym. Święta, uroczystości, imieniny, rodzinne spotkania, pani Tatara była obowiązkowo jako ta ciocia. Także losy się różnie tej czwórki potoczyły. Mama do samej emerytury pracowała już w przedszkolu, które najpierw miało nazwę imienia Marii Papiewskiej, potem przeszło pod kuratelę kuratorium i krótko miało dziwną nazwę, a potem przejął je Caritas i na Zielonej było to przedszkole. Tam gdzie teraz jest Caritas, który karmi bezdomnych. Tam miał mieszkanie ksiądz prokurator z kurii lubelskiej i mieszkał gdzieś na zapleczu, a w parterowych tych pomieszczeniach, z ogródkiem, mieściło się przedszkole. Potem jeszcze krótko na Ochotniczej było, bo tam nie było bardzo warunków.

Nigdy po wojnie nie było rozmów na ten temat. Jak byłam już nieco starsza i trochę więcej rozgarnięta, to dzieciom, ponieważ rodzina była bardzo liczna, zarówno ze strony mamy i ojca, nie wolno było uczestniczyć w czasie rozmów dorosłych.

Mama, osoba skromna, po wielu, wielu latach, chyba w 1979, roku została odznaczona orderem za to tajne nauczanie i wiem, że ojciec robił sobie szutki, że kobieta przedwojenna, a zarabia więcej niż mężczyzna, bo dostała ten dodatek finansowy do swojej emerytury. Mama była przerażona, w ogóle nie spodziewała się, że ktoś w kuratorium wie o tym, gdzieś tam w dokumentacji może, nie wiem jak to się

stało, w każdym razie było to zaskoczenie, a moja mama była taka jakaś cicha i taka ciągle z tyłu, w ogóle nawet nie mówiła o tym, dopiero jak przyszła z tej uroczystości, to powiedziała, pochwaliła się, ale ja tych okoliczności nie pamiętam. Ja już byłam osobą samodzielną, mieszkałam nie z rodzicami, byłam już mężatką z dzieckiem. Mamę tak to mało obeszło, że niewiele się o tym mówiło.

Takie były losy mojej mamy.

Data i miejsce nagrania	2018-08-13, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"